

Anarcho-Biblioteka  
Dobry pieróg to wywrotowy pieróg

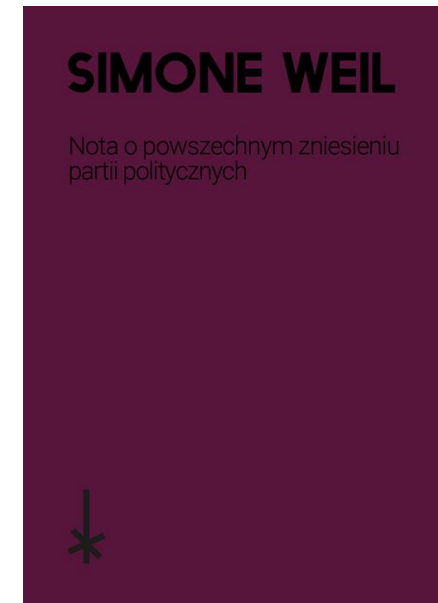


# Nota o powszechnym zniesieniu partii politycznych

Simone Weil

Simone Weil  
Nota o powszechnym zniesieniu partii politycznych  
1940

[pl.anarchistlibraries.net](http://pl.anarchistlibraries.net)



1940

Słowo partia będzie tu używane w znaczeniu, jakie ma na kontynencie europejskim. W krajach anglosaskich odnosi się ono do zupełnie innego zjawiska, którego korzenie sięgają głęboko w angielską tradycję i którego nie da się przeschepić na inny grunt. Dowodzi tego wystarczająco ostatnie półtora wieku. Anglosaski system partyjny ma w sobie coś z gry, coś ze sportu – a to jest możliwe jedynie w instytucji wywodzącej się z arystokracji. Wszystko zaś musi być poważne w instytucji pochodzenia plebejskiego.

Partia jako koncept polityczny pojawiła się we Francji 1789 roku jako coś złego i niepożądanego. Powstał oto klub Jakobinów. Początkowo był jedynie przestrzenią wolnej dyskusji. Nie żaden fatalistyczny mechanizm, lecz groźba wojny i gilotyny przemieniła go w partię totalitarną.

Wojnie frakcji z czasów Terroru przyświecała myśl dobrze później sformułowana przez Tomskiego: „Jedna partia przy władzy, pozostałe – w więzieniu”. A zatem grzechem pierworodnym systemu partyjnego na kontynencie europejskim jest totalitaryzm.

Zadomowienie się partii w europejskim życiu publicznym jest z jednej strony pozostałością z czasów Terroru, a z drugiej strony – wpływem modelu angielskiego. Ale fakt, że partie istnieją, nie stanowi wystarczającego powodu, by dążyć do ich zachowania. Jedynie dobro jest słusznym powodem dla zachowywania czegokolwiek. A zło partii politycznych jest ewidentne. Trzeba więc rozważyć, czy jest w nich zarazem element dobra, który przeważałby nad złem i czynił istnienie partii pożądanym.

Choć może zasadniejsze byłoby pytanie o to, czy istnieje w nich choć mikroskopijna cząstka dobra. Czy nie są one raczej złem w stanie (niemal) czystym?

Jeśli są złem, to oczywiście, że w istocie i w praktyce mogą wywoływać wyłącznie zło. To prawda wiary. „Tak każde dobre drzewo wydaje dobre owoce, a złe drzewo wydaje złe owoce.”

Lecz najpierw trzeba określić kryterium dobra. Tym kryterium może być tylko prawda i sprawiedliwość oraz, na dalszym miejscu, wspólny pożytek.

Demokracja, władza większej liczby – nie są dobrem. To jedynie środki prowadzące do dobra, słusznie lub niesłusznie uchodzące za skuteczne. Gdyby to nie Hitler, lecz Republika Weimarska, przestrzegając wszelkich zasad parlamentaryzmu i całkowicie zgodnie z prawem, postanowiła pozamykać Żydów w obozach koncentracyjnych, poddać ich wyrafinowanym torturom i zamęczyć na śmierć, nie byłoby to w najmniejszym nawet stopniu bardziej prawomocne niż jest teraz. A taka sytuacja nie jest wcale nie do pomyślenia.

Prawie wszędzie – często nawet w sytuacji analizowania problemów czy-  
sto technicznych – obowiązek myślenia został zastąpiony przez opowiadanie  
się za lub przeciw, po jednej ze stron.

Owa zaraza bierze swój początek w polityce, a potem rozprzestrzenia się  
po całym kraju, wpływając na całokształt myślenia.

Trudno nam będzie uporać się z tą zarazą, która nas wyniszcza, jeśli nie  
zaczniemy od zniesienia partii politycznych.

Tylko to, co sprawiedliwe, jest prawomocne. Zbrodnia i kłamstwo w żad-  
nym przypadku takie nie są.

Nasz republikański ideał opiera się całkowicie na pojęciu woli powszech-  
nej, które zawdzięczamy Rousseau, ale sens tego pojęcia został utracony pra-  
wie natychmiast, gdyż jest ono złożone i wymaga naszej szczególnej uwagi.

Jeśli pominąć kilka rozdziałów, niewiele znajdzie się książek równie pię-  
knych, silnych, jasnych i błyskotliwych jak *Umowa społeczna*. Mówi się też, że  
niewiele jest książek, które wywarły taki wpływ na rzeczywistość. A jednak  
wszystko działa się tak, i nadal się tak dzieje, jakby nikt nigdy tej książki nie  
czytał.

Rousseau wychodzi od dwóch oczywistości. Pierwsza: że rozum rozpo-  
znaje i wybiera sprawiedliwość i nieszkodliwą użyteczność, a źródłem wszel-  
kiej zbrodni jest namiętność. Druga: że rozum jest u wszystkich ludzi iden-  
tyczny, za to namiętności najczęściej się różnią. Dlatego też, gdyby każdy w  
odosobnieniu rozważył jakiś problem ogólny i sformułował swoją opinię, na-  
stępnie zaś te opinie zostały porównane, prawdopodobnie zgadzałyby się ze  
sobą w tym, co jest sprawiedliwe i rozumne, a różniły założeniami niespra-  
wiedliwymi i błędnymi.

Tylko z takiego właśnie rozumowania może wynikać, że powszechna  
zgoda wskazuje na to, co prawdziwe.

Prawda jest jedna. Sprawiedliwość jest jedna. Błędy i niesprawiedliwości  
nieskończenie się różnią. Oto więc ludzie łączą się w sprawiedliwości i praw-  
dzie, podczas gdy kłamstwo i zbrodnia czynią ich nieskończenie odmien-  
nymi. Zważywszy, że jedność jest materialną siłą, możemy mieć nadzieję,  
że pozwoli uczynić prawdę i sprawiedliwość tu na ziemi materialnie silniej-  
szymi od zbrodni i błędu.

Potrzebny jest do tego jakiś mechanizm. Demokracja jest dobra, jeśli jest  
takim właśnie mechanizmem. W przeciwnym razie – nie.

Niesprawiedliwa wola, nawet wspólna dla całego narodu, nigdy nie sta-  
łaby wyżej w oczach Rousseau – i ma on w tym względzie rację – niż niespra-  
wiedliwa wola jednego człowieka.

Rousseau uważał po prostu, że wola wspólna całego narodu najczęściej  
współbrzmi z tym, co sprawiedliwe, gdyż jednostkowe namiętności znoszą  
się w niej i kompensują wzajemne. Tylko z tego powodu wyżej cenił wolę  
ludu niż wolę indywidualną.

Masa wody, choć złożona z cząsteczek, które wciąż się poruszają i wpa-  
dają na siebie bez przerwy, trwa w spokoju i równowadze. Odbija wygląd rze-

czy w nienaganej zgodzie z prawdą. Jest idealnie horyzontalna. Bezbłędnie wskazuje masę zanurzonych w niej przedmiotów.

Jeśli na tej samej zasadzie jednostki, pełne namiętności i w związku z tym mające skłonność do zbrodni i kłamstwa, składają się na lud miłujący prawdę i sprawiedliwy – wówczas dobrze, jeśli ten lud jest suwerenem. Ustrój demokratyczny jest dobry, jeśli, po pierwsze, lud osiąga w nim ten stan równowagi oraz, po drugie, jeśli działa w ten sposób, że wola ludu jest wykonywana.

W duchu roku 1789 jest myśleć nie tyle, że coś jest słuszne, bo lud tego chce, ile że wola ludu w pewnych warunkach z większym prawdopodobieństwem niż jakakolwiek inna będzie zgodna z tym, co sprawiedliwe.

By można było mówić o woli powszechnej, muszą zostać spełnione liczne warunki. Zwłaszcza na dwóch z nich powinniśmy zatrzymać naszą uwagę.

Pierwszy warunek jest taki: w momencie, gdy lud uświadamia sobie, jaka jest jego wola, i wypowiada ją, nie wchodzi w grę żadne zbiorowe namiętności.

Oczywiste, że rozumowanie Rousseau traci ważność, gdy w grę zaczyna wchodzić zbiorowa namiętność. Sam Rousseau dobrze o tym wiedział. Zbiorowa namiętność jest impulsem do zbrodni i kłamstw nieskończenie potężniejszym niż jakakolwiek namiętność indywidualna. Złe impulsy w tym przypadku bynajmniej się nie neutralizują, lecz podnoszą się wzajemnie do tyśięcznej potęgi. Taka presja jest praktycznie nie do pokonania, chyba że ktoś naprawdę jest świętym.

Woda wprawiona w ruch przez gwałtowny prąd już nic nie odbija, traci swoją horyzontalność, nie wskazuje masy zanurzonych w niej ciał.

Naprawdę niewielkie ma znaczenie, czy tym, co ją wzburzyło, był prąd pojedynczy czy pięć lub sześć różnych, które zderzyły się i wytworzyły wir. Toń będzie tak samo zmacona w obu przypadkach.

Jeśli jakiś kraj cały ogarnie jedna zbiorowa namiętność, kraj ów stanie się jednomyślny w zbrodni. Kraj, nad którym zapanują dwie, cztery, pięć czy dziesięć namiętności, rozdzieli się na kilka grup przestępczych. Odmienne namiętności nie będą się neutralizować, jak to się dzieje z pyłem namiętności indywidualnych rozproszonym w masie; tutaj ich liczba jest o wiele za mała, a siła każdej z nich jest zbyt wielka, by mogły się nawzajem znieść. Walka tylko je podsyca. Zderzają się ze sobą z iście piekielnym hałasem, całkowicie zagłuszając głos sprawiedliwości i prawdy, aż w ogóle przestaje być słyszalny.

Kiedy więc kraj jakiś ogarnie zbiorowa namiętność, może się okazać, że pojedyncza, jednostkowa wola stanie się bliższa sprawiedliwości i rozumowi

Instytucje dyktujące reguły życia publicznego ze względu na prestiż towarzyszący władzy mają ogromny wpływ na całokształt myślenia w danym kraju.

Doszło do tego, że w najróżniejszych dziedzinach prawie nigdy nie myślimy inaczej niż opowiadając się „za” jakąś opinią albo „przeciw” niej. Potem dopiero szukamy argumentów za albo przeciw – zależnie od przypadku. Jest to dokładna transpozycja tego, czym jest przystąpienie do partii.

Tak jak w polityce istnieją demokraci, którzy uznają wiele partii, tak samo w dziedzinie opinii istnieją ludzie o szerokich horyzontach przyznający wartość opiniom, z którymi wcale się nie zgadzają. A to oznacza, że stracili wycucie tego, co jest prawdą, a co fałszem.

Inni, raz opowiedziawszy się za jakąś opinią, odmawiają rozważenia cze- gokolwiek, co jest z nią sprzeczne. Jest to z kolei transpozycja ducha totalitarnego.

Gdy myśl Einsteina dotarła do Francji, wszystkie środowiska mniej lub bardziej intelektualne, w tym również naukowe, podzieliły się na dwa obozy: za i przeciw. Każda nowa teoria naukowa zjednuje sobie w środowisku naukowców zwolenników i przeciwników – jedni i drudzy w tak samo godny pożałowania sposób ulegają duchowi partyjności. Działają w tym środowisku mniej lub bardziej skryzalizowane tendencje i stronnictwa.

Jeszcze lepiej widać to w sztuce i w literaturze. Kubizm czy surrealizm były czymś w rodzaju partii. Można być zwolennikiem Gide’a tak samo jak zwolennikiem Maurrasa. Żeby zaistnieć i wyrobić sobie nazwisko, trzeba mieć wokół siebie bandę wielbicieli przesiąkniętych duchem partyjności.

Nigdy nie było większej różnicy między przywiązaniem do partii a przywiązaniem do jakiegoś Kościoła czy do postawy antyreligijnej. Było się za wiarą w Boga lub przeciw niej, za chrześcijaństwem lub przeciw niemu. I tak dalej. Doszło do tego, że w sferze religii mówi się o wojujących działaczach.

Nawet w szkole nie umiemy już pobudzić dzieci do myślenia inaczej niż zachęcając je do opowiedzenia się „za lub przeciw”. Cytuje się im zdanie zaczerpnięte od jakiegoś wielkiego pisarza z poleceniem: „Czy zgadzasz się z przytoczoną opinią? Odpowiedź uzasadnij.” Na egzaminie nieszczęśnik musi w ciągu trzech godzin skomponować rozprawkę bez możliwości poświęcenia więcej niż pięciu minut na zastanowienie się nad tym, czy się zgadza, czy nie. A można by z łatwością sformułować polecenie tak: „Zastanów się nad tą wypowiedzią i przedstaw pisemnie swoje rozważania.”

Współpracownikom czasopisma, którzy stają do wyborów, będzie zakazane powoływanie się na owo czasopismo. Środowisko tego pisma nie będzie miało zaś prawa przekazywać im żadnych instrukcji ani też jakkolwiek, pośrednio lub bezpośrednio, wspierać ich kandydatury, czy nawet wspominać o niej.

Powinno być zabronione tworzenie grup „przyjaciół” czasopisma.

Jeśli jakieś czasopismo nie będzie pozwalało swoim współpracownikom, pod groźbą zerwania współpracy, publikowania dla innych czasopism, będzie zlikwidowane, kiedy tylko to zostanie udowodnione.

Taki reżim uniemożliwi istnienie czasopism, w których publikowanie jest ujmą na honorze (w rodzaju Grignoire, Marie-Claire itd.)

Stosowane będą kary za każdym razem, gdy jakieś środowisko dążyć będzie do skryształizowania się i nadania jakiegoś określonego charakteru swoim członkom.

Oczywiście pojawią się partie działające w ukryciu. Ale ich członkowie będą mieli nieczyste sumienia. Nie będą mogli publicznie wyznawać swojej podległości wobec partii. Nie będą mogli prowadzić żadnej propagandy w jej imieniu. A partie nie będą mogły trzymać w szachu dążeń, uczuć i poczucia powinności swoich członków.

Prawo, jeśli jest bezstronne, niezawisłe i wprowadzone z myślą o dobru publicznym, tak, by to było zrozumiałe dla ludu, zawsze osłabi to, czego zabrania. Samo jego istnienie działa osłabiająco, niezależnie od sankcji, które mają gwarantować przestrzeganie.

Ten majestat właściwy prawu, będący istotnym czynnikiem dla życia publicznego, został już dawno zapomniany, a należałoby zrobić z niego użytek.

Wygląda na to, że funkcjonowanie partii politycznych w podziemiu nie grozi niczym poza tym, co nam zagraża – w znacznie większym stopniu w sytuacji ich legalnego funkcjonowania.

Po dokładnym rozważeniu problemu nie widać, by się pojawiało zagrożenie jakiegokolwiek rodzaju związane ze zniesieniem partii politycznych.

Jakiś szczególnie paradoks sprawia, że takie właśnie zamysły, właściwie pozbawione złych stron, mają najmniejszą szansę na zrealizowanie. Mówi się: gdyby to było takie proste, ktoś by już to zrobił dawno temu.

Tymczasem wielkie rzeczy są zazwyczaj proste i łatwe.

Oczyszczający wpływ takiego przedsięwzięcia sięgałby daleko poza sprawy publiczne. Duch partyjności zdołał bowiem już zatruć wszystko.

niż wola powszechna, czy raczej niż to, co przemieniło się w karykaturę woli powszechnej.

Drugi warunek jest taki, że lud powinien móc wyrażać swoją wolę w kwestiach problemów życia publicznego, a nie jedynie dokonywać wyboru osób. Tym bardziej nie chodzi o wybieranie niezbyt odpowiedzialnych ugrupowań. Taki wybór nie ma bowiem nic wspólnego z wolą powszechną.

Jeśli w 1789 roku rzeczywiście doszło do wyrażenia woli powszechnej, mimo że wprowadziliśmy, nie umiając sobie wyobrazić innego, system przedstawicielski, z pewnością nie stało się to dzięki wyborom. W tym czasie w całym kraju wszystko, co żyło – a kraj przepełniało wówczas buzujące gwałtownie życie – dążyło do wyrażenia myśli za pomocą długich list roszczeń. Reprezentanci wyłonili się przede wszystkim właśnie w tej intensywnej wspólnej pracy myślowej; wciąż oddychali jej gorącą atmosferą; czuli, jak wszyscy wokół wsłuchują się w ich słowa, jak czujnie śledzą, na ile dokładnie te słowa oddają ich aspiracje. Przez pewien czas – krótki czas – reprezentanci naprawdę byli po prostu organami wyrażania myśli publicznej.

Coś takiego już się nigdy więcej nie powtórzyło. Z tych dwóch warunków wynika jasno, że nigdy nie zazналиśmy czegoś, co choćby z daleka przypominałoby demokrację. W ustroju, który określamy tym mianem, lud nie ma nigdy możliwości ani sposobu, by wyrazić opinię dotyczącą jakiegokolwiek problemu życia publicznego. Zaś wszystko, co wychodzi poza interesy indywidualne, zostaje wydane na pastwę namiętności zbiorowych, które są systemowo i oficjalnie podsycane.

Używanie słów takich jak „demokracja” i „republika” zmusza nas do niezwykle uważnego przeanalizowania dwóch następujących zagadnień:

Jak w rzeczywistości umożliwić ludziom stanowiącym lud Francji wypowiedzenie swojego poglądu dotyczącego jakiejś ważkiej kwestii z życia publicznego?

Jak nie dopuścić do tego, by w momencie, w którym lud się wypowiada, krążyły wśród niego jakiegokolwiek zbiorowe namiętności?

Jeśli nie rozważymy tych dwóch kwestii, nie ma co mówić o prawomocności republiki.

Niełatwo będzie znaleźć rozwiązanie. Ale po uważnym zastanowieniu staje się oczywiste, że przy jakimkolwiek rozwiązaniu zacząć trzeba od zniesienia partii politycznych.

Skoro chcemy ocenić partie polityczne według kryterium prawdy, sprawiedliwości i dobra publicznego, dobrze będzie zacząć od nakreślenia ich najbardziej charakterystycznych cech.

Można wymienić trzy takie cechy:

- partia polityczna jest maszyną wytwarzania zbiorowych namiętności.
- partia polityczna jest organizacją tak skonstruowaną, by zbiorowość wywierała presję na myślenie każdej osoby, która do niej należy.
- najważniejszym celem każdej partii politycznej, a ostatecznie też jedynym jej celem, jest jej własny rozwój, najlepiej nieograniczony.

Jak widać z tego zestawienia, każda partia polityczna jest z natury i z aspiracji totalitarna. Jeśli jakaś partia taka nie jest w rzeczywistości, to tylko dlatego, że otoczona jest przez inne, które są bardziej totalitarne.

Te trzy cechy są oczywistą prawdą dla każdego, kto zapoznał się choć trochę z życiem partyjnym.

Trzecia cecha jest szczególnym przypadkiem bardziej ogólnego zjawiska występującego wszędzie tam, gdzie istoty myślące zostają zdominowane przez zbiorowość. Tym zjawiskiem jest odwrócenie relacji między środkiem i celem. Wszędzie bez wyjątku wszystko, co powszechnie uważa się za cel, jest ze swej natury, z definicji, z istoty i w sposób oczywisty jedynie środkiem. Przykładów można by wskazać bez liku w każdej sferze: w dziedzinach takich jak pieniądze, władza, państwo, sława narodu, produkcja gospodarcza, dyplomy uniwersyteckie i wiele innych.

Jedynym celem jest dobro. Wszystko, co należy do dziedziny faktów, to tylko środki. Ale myśl zbiorowa nie jest w stanie wznieść się ponad dziedzinę faktów. To jest myśl zwierzęca. Pojęcie dobra znane jest jej tylko na tyle, ile trzeba, by popełniać błąd polegający na braniu tego czy innego środka za dobro absolutne.

Tak właśnie ma się rzecz z partiami. Zasadniczo partia jest narzędziem mającym służyć jakiejś koncepcji dobra publicznego.

Dotyczy to również tych partii, które są związane z interesami jakiejś konkretnej grupy społecznej, bo zawsze znajdzie się taka koncepcja dobra publicznego, zgodnie z którą te interesy okażą się zbieżne z dobrem publicznym. Lecz ta koncepcja będzie skrajnie niekonkretna – jej niekonkretność ujawnia się zawsze i wszędzie, zawsze z tą samą mocą. Partie najbardziej chaotyczne i najlepiej zorganizowane są sobie równe w tym, jak rozmyta jest ich doktryna. Żaden człowiek, choćby nie wiem jak głęboko studiował sprawę polityki, nie będzie w stanie wyłożyć precyzyjnie i jasno doktryny

Mimo to istnieją ludzie uzależnieni od środków odurzających.

Byłoby ich jednak znacznie więcej, gdyby państwo zezwalało na sprzedaż opium i kokainy w sklepach tytoniowych oraz na publikowanie plakatów zachęcających do ich kupowania.

Wniosek: system partyjny stanowi zło prawie bez żadnej domieszki. Partie są złe z zasady i praktycznie wszystkie skutki ich działania są złe.

Zniesienie partii stanowiłoby dobro w stanie niemal czystym. Wynikałoby z jawnie słusznej zasady i trudno sobie wyobrazić, by praktycznie przyniosło inne skutki niż dobre.

Kandydaci, zamiast mówić wyborcom: „Działam pod takim oto szyldem” – z czego nie wynika absolutnie nic, jeśli chodzi o ich konkretną opinię dotyczącą konkretnego zagadnienia – mówiliby: „W tej czy tamtej kwestii uważam to czy tamto”.

Wybrani reprezentanci sprzymierzaliby się lub rozdzielali w rytm naturalnych układów powinowactw. Mogę zgadzać się z panem A. w kwestii kolonizacji, ale nie zgadzać się z nim w kwestiach związanych z ziemiaństwem, a z panem B. – odwrotnie. Kiedy mowa będzie o kolonizacji, pójdę przed sesją porozmawiać z panem A., a jeśli o własności ziemskiej – z panem B.

Sztuczny podział na partie tak mało pokrywa się z rzeczywistą siatką powinowactw, że czasem jakiś poseł w niczym się nie zgadza z kolegą ze swojej partii, a zgadza się we wszystkim z członkiem jakiejś innej.

Ileż to razy się zdarzało w Niemczech w 1932 roku, że komunista i nazista rozmawiający na ulicy dostawali mentalnego zawrotu głowy, konstatując, że zgadzają się ze sobą we wszystkich punktach!

Istniałyby więc poza Parlamentem czasopisma, wokół których naturalnie krystalizowałyby się środowiska. Muszą one jednak pozostawać w stanie płynności. Właśnie płynność jest tym, co przede wszystkim różni środowisko zrodzone z powinowactw od partii politycznej. Dzięki tej płynności nie wywierają one złego wpływu. Kiedy jesteśmy w przyjacielskiej relacji z redakcją jakiegoś czasopisma i z osobami, które do niego piszą, albo kiedy sami do niego piszemy, wówczas wiemy, że pozostajemy w kontakcie ze środowiskiem koncentrującym się wokół tego pisma. Ale nie wiemy wcale, czy stanowimy jego część. Tutaj nie istnieje wyraźne rozgraniczenie między wnętrzem a zewnątrz. Trochę dalej znajdują się ci, którzy czytają to pismo i znają jedną czy dwie osoby, które w nim publikują. Jeszcze dalej są stali czytelnicy, którzy z niego czerpią inspirację. Jeszcze dalej – sporadyczni czytelnicy. Ale nikomu nigdy nie przyszłoby do głowy powiedzieć: „Jako osoba związana z takim a takim pismem, uważam, że...”

nie udało mu się go zdusić całkowicie, to dzięki azyłowi, jakim zawsze był mistycyzm. Sposrzegano to wiele razy. Rzadziej jednak dostrzegano inną tragiczną ironię; tę mianowicie, że bunt przeciwko tłamszeniu ducha pod reżimem Inkwizycji przyjął taki kierunek, że zaczął naśladować ją w owym dziele tłamszenia ducha.

Renesansowy humanizm i reformacja – podwójny owoc tego buntu – miał istotny wpływ na wyłonienie się, po trzech wiekach dojrzewania, ducha roku 1789. Z niego zaś, po pewnym czasie, zrodziła się nasza demokracja oparta na rywalizacji partii politycznych, z których każda jest małym laickim kościołem uzbrojonym w groźbę ekskomuniki. Oddziaływanie partii zatruło całe życie duchowe naszej epoki.

Człowiek, który przystąpił do partii, najprawdopodobniej dostrzegł w jej działaniach i w jej propagandzie coś, co wydało mu się dobre i słuszne. Ale przecież nie przyjrzał się stanowisku tej partii w odniesieniu do wszystkich problemów życia publicznego.

Wstępując do niej, z góry zgadza się na te aspekty stanowiska, których nie zna. Później zaczyna podporządkowywać swoje myślenie partii i stopniowo poznając te aspekty, akceptuje je już bez analizowania.

Dokładnie w takiej sytuacji jest ten, kto przyjmuje wyznanie katolickie w rozumieniu zgodnym z myślą świętego Tomasza.

Gdyby jakiś człowiek, zgłaszając się po kartę członkowską, powiedział: „zgadzam się z partią w takich i takich kwestiach, ale nie znam jej stanowiska w innych, w związku z tym wstrzymuję się z opinią”, poproszono by go zapewne, by przyszedł później.

Tak naprawdę jednak, nie licząc bardzo rzadkich wyjątków, człowiek wstępujący do partii posłusznie akceptuje postawę umysłową, którą później wyrazi słowami: „Jako monarchista...”, „Jako socjalista uważam, że...” Jakie to wygodne! Nie trzeba myśleć. Nic nie jest tak wygodne jak niemyślenie.

Trzeci rys charakterystyczny partii – czyli fakt, że są one maszynami wytwarzającymi zbiorową namiętność – jest tak widoczny, że nie trzeba go dowodzić. Namiętność zbiorowa jest jedyną siłą, jaką partie polityczne mogą się posłużyć w prowadzeniu propagandy zewnętrznej i wywieraniu nacisku na dusze swoich członków.

Wiemy, że duch partii zaślepia, że czyni głuchym na sprawiedliwość, że nawet uczciwych ludzi skłania do zwracania się z całym okrucieństwem przeciwko niewinnym. Wiemy to, ale nawet nie myślimy o zniesieniu organizacji, które tego ducha wytwarzają.

Zakazuje się przecież środków odurzających.

żadnej partii politycznej, w tym również swojej własnej, jeśli do jakiejś należał.

Nikt tego nie przyznaje sam przez sobą. Gdyby zaś przyznał, raczej naiwnie widziałby w tym przejaw jakiejś własnej indywidualnej niezdolności, zamiast przyjąć po prostu, że sformułowanie: „doktryna partii politycznej” z samej istoty rzeczy nigdy nie ma sensu.

Bardzo rzadko się zdarza, by jeden człowiek, nawet jeśli spędza życie na pisaniu i badaniu idei, miał doktrynę. Zbiorowość nie ma jej nigdy. Doktryna nie jest towarem do użytku zbiorowego.

Mówi się co prawda o doktrynie chrześcijańskiej, hinduistycznej, pitagorejskiej i tak dalej. Wówczas jednak to słowo wskazuje na coś, co nie jest ani indywidualne, ani zbiorowe, lecz sytuuje się nieskończenie powyżej jednego i drugiego. Jest po prostu prawdą.

Cel partii politycznej jest zawsze mglisty i nierealny. Gdyby był czymś rzeczywistym, wymagałby ogromnego skupienia uwagi, gdyż koncepcję dobra publicznego niełatwo uchwycić myślą. Natomiast istnienie partii jest czymś namacalnym, oczywistym; uznanie go nie wymaga żadnego wysiłku. Siłą rzeczy więc jedynym celem partii staje się ona sama.

Tak zaczyna się bałwochwalstwo – bo tylko Bóg może być celem sam dla siebie.

Przejście od jednego do drugiego jest łatwe. Wystarczy przyjąć za aksjomat, że warunkiem koniecznym i wystarczającym, by partia mogła skutecznie służyć dobru publicznemu, dla którego istnieje, jest posiadanie przez nią jak największej władzy.

Ale skończony zasób władzy, zwłaszcza już raz zdobytej, nie będzie nigdy wystarczający. Partia zmaga się z nieustannym poczuciem bezsilności będącym skutkiem braku myślenia, a mylnie przypisywanym niedostatkom władzy pozostającej do jej dyspozycji. Choćby nawet i sprawowała absolutną władzę w swoim kraju, ograniczenia na arenie międzynarodowej wydadzą jej się nieznośne.

Tak więc podstawowe dążenie partii politycznych jest totalitarne, nie tylko w skali narodu, ale całej kuli ziemskiej. Właśnie dlatego, że idea dobra publicznego właściwa takiej czy innej partii jest zawsze fikcją, że jest ona czymś pustym, wyzutym z rzeczywistości, partia musi dążyć do totalnej władzy. Rzeczywistość sama z siebie nakłada jakieś ograniczenia. Natomiast to, co nie istnieje, nie zna żadnych granic.

Na tym polega powinowactwo czy też sojusz między totalitaryzmem i kłamstwem.

To prawda, że są ludzie, którzy wcale nie marzą o totalnej władzy. Myśl o jej posiadaniu byłaby dla nich przerażająca. Taka myśl przyprawia o zawrót głowy. Trzeba swego rodzaju wielkości, żeby jej podolać. Jeśli tacy ludzie interesują się jakąś partią, życzą sobie po prostu, żeby jej wpływy rosły, ale nie przewidują żadnych ograniczeń tego wzrostu. Są zadowoleni, jeśli w tym roku partia zyska trzech członków więcej niż miała w zeszłym albo jeśli jakaś zbiórka przyniesie 100 franków więcej. Ale chcieliby, żeby to trwało w nieskończoność i szło zawsze w tym samym kierunku. Nie przyjdzie im nigdy do głowy, że ich partia mogłaby mieć zbyt wielu członków, zbyt wielu wyborców, zbyt dużo pieniędzy.

Temperament rewolucyjny skłania do myślenia w kategoriach totalności. Temperament drobnomieszczański – raczej do przyjęcia wizji powolnego, trwałego, ale nieograniczonego postępu. Jednak w obu przypadkach materialne rozrastanie się partii staje się jedynym kryterium, za którego pośrednictwem ocenia się dobro i zło wszystkich innych rzeczy. Zupełnie jakby partia była zwierzęciem hodowlanym, a cały świat – jej pastwiskiem.

Nie da się służyć i Bogu, i Mamonie. Jeśli mamy kryterium dobra inne niż dobro, tracimy pojęcie dobra.

Kiedy rozrastanie się partii staje się naszym kryterium dobra, nieuniknionym efektem będzie wywierana na myślenie ludzi. Ta presja działa naprawdę. Rozprzestrzenia się w sferze publicznej. Jest jawna i głoszona wprost. Byłaby czymś przerażającym, gdyby nie uodporniło nas na nią przyzwyczajenie.

Partie polityczne są oficjalnie, publicznie ustanowione po to, by zabijać w naszych duszach poczucie prawdy i sprawiedliwości.

Presję wywiera się na opinii publicznej za pośrednictwem propagandy. Deklarowanym celem propagandy jest przekonanie innych, nie zaś udzielenie im światła prawdy. Hitler dobrze wiedział, że propaganda zawsze dąży do zniewolenia umysłów. Wszystkie partie uprawiają propagandę. Gdyby któraś z tego zrezygnowała, znikłaby ze sceny politycznej z tego tylko powodu, że wszystkie inne nadal to robią. Partie otwarcie przyznają, że interesuje je propaganda. Żadna nie posuwa się do tak bezczelnego kłamstwa, by twierdzić, że zajmuje się edukacją czy kształtowaniem poglądów ludu.

Co prawda partie mówią też o „edukowaniu” tych, którzy do nich przychodzą – swoich sympatyków, młodzieży czy nowych członków. Ale to słowo jest kłamliwe. Chodzi raczej o trening będący przygotowaniem gruntu pod znacznie głębsze wywieranie wpływu na myślenie członków partii.

Partie polityczne są jak cudowny mechanizm, którego działanie sprawia, że jak kraj długi i szeroki nie ma już absolutnie nikogo, kto skupiałby się na wysiłku rozpoznawania dobra, sprawiedliwości i prawdy w sferze publicznej.

Skutkiem tego – oprócz nielicznych szczęśliwych przypadków – wszystkie podejmowane decyzje i wprowadzane środki są sprzeczne z dobrem publicznym, sprawiedliwością i prawdą.

Sam diabeł, gdyby to jemu powierzyć organizację życia publicznego, nie mógłby tego lepiej wymyślić.

Jeśli rzeczywistość nie jawiła się dotychczas w aż tak ponurych barwach, to tylko dlatego, że partie jeszcze nie pochłonęły jej w całości. Lecz czy faktycznie nie była tak ponura? Czy nie była zawsze równie ponura, jak naszkicowany tu obraz? Czy ostatnie wydarzenia tego nie dowodzą?

Trzeba zauważyć, że typowe dla partii politycznych mechanizmy wywierania presji duchowej i psychicznej weszły do historii dzięki Kościołowi katolickiemu i jego walce z herezją.

Konwertyta wchodzący do Kościoła – albo wierny, który po wewnętrznych zmaganiach postanawia w nim pozostać – dostrzega w dogmacie wiary prawdę i dobro. Ale przekraczając ten próg wyznaje zarazem, że nie dotyczy go *anathema sit* czyli, innymi słowy, że zgadza się za jednym zamachem ze wszystkimi prawdami wiary. Nie przestudiował jednak tych prawd. Nawet przy bardzo wysokim poziomie inteligencji i wykształcenia życia nie starczyłoby mu na takie studia. Zwłaszcza, że trzeba by też przeanalizować okoliczności historyczne towarzyszące każdemu potępieniu.

Jak można się zgodzić z twierdzeniami, których się nie zna? Wystarczy bezwarunkowe podporządkowanie się władzy, która je wydaje.

Dlatego Święty Tomasz opiera swoje twierdzenia tylko na autorytecie Kościoła, rezygnując z jakiegokolwiek innej argumentacji. Albowiem – twierdzi on tym, którzy je przyjmują, nic więcej nie trzeba, a tych, którzy je odrzucają, nie przekonają żadne argumenty.

Tak oto wewnętrzne światło prawdy – owa zdolność rozpoznawania spływająca z góry ku ludzkiej duszy w odpowiedzi na jej pragnienie prawdy – zostaje odrzucone, zdegradowane do wykonywania niewolniczych zadań, takich jak proste rachunki, a wykluczone z wszelkich poszukiwań związanych z duchowym przeznaczeniem człowieka. Bódcem do myślenia nie jest już bezwarunkowe i nieograniczone pragnienie prawdy – staje się nim poszukiwanie zgodności z ustalonym z góry dogmatem.

Jest jakaś tragiczna ironia w tym, że Kościół ustanowiony przez Chrystusa tak straszliwie zdusił w sobie ducha prawdy – a jeśli, mimo Inkwizycji,



O ile jednak kogoś, kto porzuci sprawiedliwość i prawdę, nie spotka żadna krzywda, o tyle system partyjny przewiduje dotkliwe kary dla każdego, kto okaże mu nieposłuszeństwo. Kary sięgają każdej sfery: kariery, uczuć, przyjaźni, reputacji, honoru, czasem nawet życia rodzinnego. Partia komunistyczna doprowadziła ten system do perfekcji.

Nawet komuś, kto w głębi ducha pozostaje nieustępliwy, świadomość istnienia tych kar zafałszuje jasność rozeznania. Gdy bowiem chce on zareagować przeciw naciskowi ze strony partii, ta chęć reakcji sama w sobie jest czymś obcym wobec prawdy, powinien więc podejść do niej z nieufnością. Z kolei do tej nieufności też powinien podchodzić z nieufnością. I tak dalej. Prawdziwe skupienie uwagi jest stanem tak trudnym do osiągnięcia, tak gwałtownym, że każde najdrobniejsze zakłócenie osobistej równowagi może stać się przeszkodą na drodze do niego. A wobec tego najwyższym naszym obowiązkiem jest chronić, i to za wszelką cenę, tę zdolność rozeznania, którą dysponujemy, przed tumultem naszych prywatnych nadziei i lęków.

Sytuacja człowieka, który musi przeprowadzać skomplikowane operacje rachunkowe, wiedząc, że dostanie baty za każdym razem, gdy wyjdzie mu liczba parzystą, jest bardzo trudna. Coś w cielesnej części jego duszy będzie skłaniać go do delikatnego naciągania wyników, tak, by za każdym razem wychodziła liczba nieparzystą. Gdy spróbuje się temu przeciwstawić, pojawia się ryzyko, że znajdzie liczbę parzystą nawet tam, gdzie powinno wyjść inaczej. Jego uwaga, daleka od czystego skupienia, miota się od ściany do ściany. Jeśli rachunki są na tyle skomplikowane, że wymagają od niego całkowitej koncentracji uwagi, zacznie się często mylić. Nic mu nie pomoże inteligencja, odwaga i troska o prawdę.

Co więc ma robić? Proste. Jeśli chce się wymknąć ludziom, z rąk których grozi mu chłosta, musi uciekać. Jeśli to możliwe, najlepiej próbować w ogóle nie wpaść w ich ręce.

Z partiami politycznymi rzecz się ma dokładnie tak samo.

Jeśli w kraju istnieją partie polityczne, prędzej czy później dojdzie do sytuacji, w której nie da się skutecznie zajmować sprawami publicznymi bez wstąpienia do którejś z nich i grania w jej grę. Każdy, kto się angażuje w sprawy publiczne, chce to robić skutecznie. Tak więc ci, którzy troszczą się o dobro publiczne, muszą albo przestać się o nie troszczyć i zająć się czymś innym, albo przejść przez partyjny magiel. W tym drugim przypadku pojawiają się przed nimi troski, które wykluczają dalszą troskę o dobro publiczne.

Wyobraźmy sobie członka jakiejś partii – posła, kandydata do parlamentu albo po prostu działacza – który publicznie wygłasza takie zobowiązanie: „rozważając jakikolwiek problem polityczny czy społeczny, zobowiązuję się za każdym razem całkowicie zapomnieć, że jestem członkiem tej właśnie grupy, i zabiegać wyłącznie o dobro publiczne i sprawiedliwość.”

Taka mowa została by bardzo źle przyjęta. Oskarżyliby go o zdradę wszyscy, nie tylko partyjni koledzy. Mniej wrogo nastawieni mówiliby: „Dlaczego więc wstąpił do partii?” – a tym samym w swej naiwności przyznaliby, że wstępując do partii rezygnujemy z dążenia tylko do dobra publicznego i sprawiedliwości. Zostałby on wreszcie wykluczony ze swojej partii, a w najlepszym razie straciłby jej poparcie – z pewnością by go nie wybrano.

Wydaje się jednak mało możliwe, by ktoś pozwolił sobie na taką wypowiedź. Coś takiego nie miało nigdy miejsca, chyba skutkiem pomyłki. Jeśli słowa z pozoru podobne do tych kiedykolwiek padły, to jedynie z ust osób, które chciałyby rządzić z poparciem innych partii niż ich własna. Brzmiały wówczas niezbyt honorowo.

Tymczasem uważamy za całkiem naturalne, rozsądne i honorowe, kiedy ktoś mówi: „Jako konserwatysta...” lub „Jako socjalistka uważam, że...”

Co prawda akurat to dotyczy nie tylko partii, Tak samo nikt nie czerwieni się ze wstydu mówiąc: „Jako Francuz uważam, że...” albo „jako katoliczka uważam, że...”

Różne dziewczynki, które poczuwały się do afiliacji z gaullizmem – francuskim odpowiednikiem hitleryzmu – dodawały do powyższego wstępu zdanie: „Prawda jest czymś względnym nawet w geometrii...” W tej kwestii udało im się dotknąć istoty problemu.

Jeżeli prawda nie istnieje, mamy prawo myśleć w ten czy inny sposób, zależnie od tego, czy czujemy się tym czy innym. Tak jak włosy mamy czarne, brązowe, rude albo blond, tak samo wydajemy z siebie takie albo inne myśli, zależnie od tego, jacy jesteśmy. Myśl – jak włosy – okazuje się wytworem fizycznego procesu eliminacji.

Ale gdy przyjmiemy, że prawda istnieje, nie mamy prawa myśleć nic poza prawdą. Myślimy wtedy jakąś rzecz nie dlatego, że uważamy się za Francuza, katolika czy socjalistę, lecz dlatego, że nieodparte światło oczywistości każe nam myśleć w ten sposób, nie inaczej.

Jeśli w miejsce oczywistości pojawia się wątpliwość, oczywiste jest jedynie to, że w aktualnym stanie naszej wiedzy dana kwestia jest wątpliwa. Jeśli gdzieś rysuje się nikle prawdopodobieństwo czegoś, oczywiste jest jedy-

nie to nikłe prawdopodobieństwo. I tak dalej. Za każdym razem jednak wewnętrzne światło daje temu, kto go szuka, natychmiastową odpowiedź. To nieważne, że treść odpowiedzi czasem jest mniej jednoznaczna, a czasem bardziej. Zawsze można daną kwestię rozpatrzeć ponownie. Ale tylko wtedy można zmienić odpowiedź, kiedy spłynie na nią więcej światła wewnętrznego.

Jeśli jakiś człowiek, członek partii, jest absolutnie zdecydowany w myśleniu swoim zawsze dochowywać wierności wewnętrznemu światłu i niczemu więcej, nie może on pozwolić, by partia dowiedziała się o jego postanowieniu. Pozostaje więc w stosunku do niej w stosunku kłamstwa.

Taka sytuacja nie powinna mieć miejsca – chyba że jakaś konieczność zmusza go do wstąpienia do partii, na przykład fakt, że tylko tak może skutecznie brać udział w życiu publicznym. Z tego jednak wynika, że taka konieczność jest złem; a zatem należy położyć jej kres przez zniesienie partii politycznych.

Z kolei człowiek, który nie zdecyduje się dochowywać wierności swemu wewnętrznemu światłu, hoduje w głębinach w swojej duszy kłamstwo. Karą będzie dla niego wewnętrzna ciemność.

Daremnie próbowalibyśmy z tego wybrnąć, wprowadzając rozróżnienie między wolnością wewnętrzną a dyscypliną zewnętrzną. Oznaczałoby to okłamywanie opinii publicznej, wobec której każdy kandydat, każdy poseł jest szczególnie zobowiązany do prawdomówności.

Jeśli zamierzam w imieniu mojej partii mówić rzeczy, które uważam za niezgodne z prawdą i sprawiedliwością, czy mam wszystkich o tym wcześniej uprzedzić? Jeśli tego nie zrobię, będę kłamać.

Z trzech form kłamstwa – kłamania partii, sobie samemu oraz kłamania publicznie – pierwsza na pierwszy rzut oka wydaje się najmniej naganna. Ale skoro przynależność do partii politycznej zawsze, w każdym przypadku, zmusza nas do oszukiwania, jej istnienie jest absolutnym i bezwarunkowym złem.

W programach spotkań politycznych często czytamy: pan X przedstawi punkt widzenia komunistyczny (na temat, który stanowi przedmiot spotkania), pan Y – punkt widzenia socjalistyczny, a pan Z – stanowisko radykalne.

Jak ci nieszczęśnicy mogą się zapoznać z punktem widzenia, który mają przedstawić? Kogo powinni się radzić? Jakiej wyroczeni? Zbiorowość nie dysponuje językiem ani piórem. Organy ekspresji są jednostkowe. Żadna jednostka nie jest wcieleniem zbiorowości socjalistycznej ani – tym bardziej –

radykalnej. Zbiorowość komunistyczna wcieliła się w Stalina, ale on jest daleko: trudno będzie do niego zadzwonić przed spotkaniem.

Każdy z nich – pan X, pan Yi pan Z – będzie się naradzał tylko ze sobą. Ponieważ jednak są uczciwi, najpierw wywołają w sobie specjalny stan umysłu, taki, w który wprowadzała ich często atmosfera środowiska komunistycznego, socjalistycznego, radykalnego.

Gdy wprowadzimy się w taki stan i podążymy swobodnie za swoimi emocjami, zaczniemy naturalnie wytwarzać dyskurs zgodny z „punktem widzenia” komunistycznym, socjalistycznym, radykalnym.

Warunkiem powodzenia tego przedsięwzięcia jest zakazanie sobie surowo najmniejszego wysiłku uwagi zmierzającego do rozpoznania sprawiedliwości i prawdy. Gdyby wykonać taki wysiłek, mogłoby się skończyć – strach pomyśleć! – wyrażeniem „osobistego punktu widzenia”.

Dzisiaj więc dążenie ku sprawiedliwości i prawdzie uchodzi za uleganie osobistemu punktowi widzenia.

Kiedy Poncjusz Piłat zapytał Jezusa: „Czym jest prawda?”, Jezus nie odpowiedział. Powiedział już wcześniej: „Przyszedłem na świat, aby dać świadectwo prawdzie”.

Istnieje tylko ta jedna odpowiedź. Prawdą są myśli pojawiające się w umyśle istoty myślącej, która pragnie jedynie, całkowicie i wyłącznie prawdy.

Kłamstwem czy błędem – to synonimy – będą zaś myśli tych, którzy nie pragną prawdy, albo tych, którzy pragną prawdy i czegoś jeszcze. Na przykład pragną prawdy, ale również zgodności z taką czy inną powszechnie przyjętą opinią.

Ale jak można pragnąć prawdy, nic o niej nie wiedząc? To największa z tajemnic. Słowa wyrażające doskonałość niepojętą dla człowieka, takie jak Bóg, prawda, sprawiedliwość, wypowiedane po cichu, z pożądaniem, niepodporządkowane żadnej idei – mają moc podnoszenia duszy i zalewania jej światłem.

Tylko pragnąc prawdy na ślepo, nie próbując z góry przewidzieć jej treści, otrymamy światło. Taki jest mechanizm działania uwagi.

Nie da się analizować straszliwie skomplikowanych problemów życia publicznego zważając na prawdę, sprawiedliwość i dobro publiczne, a jednocześnie zachowując postawę, która przystoi członkowi takiego czy innego ugrupowania. Poświęcanie uwagi dwóm tak absorbującym sprawom jednocześnie jest czymś ponad ludzkie możliwości. Zajęcie się jedną sprawą musi skutkować porzuceniem drugiej.